ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Sierpnia. — N^er^ 32. — Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

ROZDZIAŁ I.

Dudarze.

Nikogo zapewne niezdziwi, gdy usłyszy że Rzym w swych murach mieści nadzwyczajną mnogość wizerunków Matki Boskiéj: u rogu niemal każdéj ulicy wita Madona, nadedrzwiami domów króluje Madona, Madona opiekunką alkowy, Madona strzeże ogniska domowego.

Wewnątrz i zewnątrz pomieszkań pełno tych świętych wizerunków w stolicy apostolskiéj.

Właściciele tych obrazów, w miarę pobożności swojéj utrzymują przy nich lampy albo kaganki, czasem zaświécają jarzące świéce woskowe. Czyszczą korony bronzowe zdobiące głowę Bogarodzicy, odświéżają kolory, odnawiają kwiaty i wstążki.

Lecz na tém nie koniec. W czasie adwentu przybywają do Rzymu z gór Abruckich pasterze odziani w kożuchy, w chodakach sznurowanych aż po kolana, w szpiczastych kapeluszach przystających tak dobrze do twarzy południowym mieszkańcom Europy. Są-to dudarze, tak zwani *Pifferari*. Głównem ich zatrudnieniem a oraz zarobkiem jest grać na kobzie na cześć Najświętszéj Panny w czasie uroczystych świąt zimowych i przypominać Jéj tonami swego instrumentu, pasterzów, którzy niegdyś przyszli oddawać cześć Jéj boskiemu Synowi w stajence betlejemskiéj.

Koncerta tych biedaków nie są wcale świetne; tony ich kobzy nieodznaczają się spiewnością i wdziękiem; ale powszechne jest zdanie, że Matce Zbawiciela przyjemniejsza naiwna prostota tych pasterskich koncertów aniżeli harmonia najuczeńszego *Oratorio*.

Ażeby więc sobie zjednać łaskę boskiéj opiekunki domu, jest zwyczaj w Rzymie najmować dudarzów do odprawiania Nowenny raz w roku. Za kilka paoli podejmuje się kilku z tych górali odgrywać przez dziewięć wieczorów swoje smętne nóty na cześć Matki Boskiéj, wydobywając żałośne akordy ze skóry koźléj połączonéj z rodzajem fałszywego klarynetu.

Podobne serenady bawią z początku nowością: te ubiory à la Salvator, wydatność kolorytu całéj grupy, oryginalny kształt instrumentów i nieustraszona pewność intonacyi, to wszystko ma zwłaszcza

dla cudzoziemca szczególny powab. Ale ponieważ się podobne sceny pojawiają od Adwentu aż do wielkiego postu, więc wkońcu się i sprzykrzą.

Dzień w dzień o każdéj godzinie, na rogach wszystkich ulic spotkasz się z dudarzami, których przeraźliwa muzyka obraża uszy. Nieraz słyszałem jak niedowiarki z zagranicy złorzeczyli biednym muzykantom. Co do mnie, znosiłem ich muzykę z większym stoicyzmem.

Między tymi muzykantami uważałem kilka razy człowieka jeszcze młodego, chociaż włosy jego już przybiérały barwę siwizny. Był ubrany jak jego towarzysze w kożuchu, w kapeluszu szpiczastym, w krótkiéj kamizelce i w spodniach z zielonego aksamitu. Odznaczał się od innych tylko schludnością tego stroju. Grał na kobzie jak tamci, ale grał nierównie lepiéj od nich i z większą pobożnością.

Kiedy towarzysze jego wchodzili do domów po zapłatę, on odchodził, i błąkał się samotnie po ulicach aż natrafił na nową grupę dudarzów, z którymi się łączył do nowego koncertu tego samego rodzaju.

Zdaje się że go znali inni dudarze, nigdy bowiem niewzbraniali mu udziału w swych serenadach; wiedzieli dobrze że im niezrobi uszczerbku w zarobku. Przechodzący ludzie znali go także: widziałem wielu witających go z wyrazem politowania i życzliwości.

Dopytywałem się o niego i dowiedziałem się że jest Rzymianin, że się nazywa Manello Moschini, i że go pospolicie nazywają „kochankiem z Rimini.“

Wszystkie te szczegóły pobudziły do wysokiego stopnia moją ciekawość; domyśliwałem się jakiéj legendy średniowiecznéj zabłąkanéj pośród dziewiętnastego wieku. Przeczuwałem w życiu tego dudarza z własnéj chęci, tajemnicę wiary i miłości, domyśliwałem się jednéj z owych namiętnych przygód, których opowiadania z niedowierzaniem słuchamy, a które w obecnym stanie naszych obyczajów i powszechnego zwątpienia coraz rzadziéj się wydarzają.

Szukałem przeto sposobności zabrać z nim znajomość. Niemiałem odwagi zaczepić go bez jakiejkolwiek pozornéj przyczyny, obawiając się obrazić go lub rozjątrzyć ranę dla któréj otrzymał swe poetyczne przezwisko. Z początku witałem go z daleka; potem gdy mnie już znał z widzenia, przystąpiłem do niego i powiedziałem mu kilka grzecznych wyrazów.

Zabrawszy z nim w ten sposób znajomość, nastręczyła mi się bardzo naturalna sposobność wejść z nim w ściślejszy stosunek.

Jednego poranku zajęty byłem w mojém pomieszkaniu rozpoznawaniem kilku monet starych, które dzień przedtem kupiłem u robotników kopiących około zwalisk góry palatyńskiéj; chciałem odgadnąć, do czego służyć mogły kawałki mozaiki z kolorowego szkła, które poznachodziłem w grobach przytykających do drogi Appiusza, gdy mnie znane tony dudarzów abruckich oderwały od ulubionego zatrudnienia. Pasterze neapolitańscy odgrywali pod mojemi drzwiami wewnątrz domu swoje improwizowane

Oratorio. Właścicielka domu wezwała ich ażeby odprawili nowenne na cześć Madony tego miejsca. Zostawiłem na stole moje monety i moją mozaikę, otworzyłem drzwi i ujźrzałem Manella poważnego i pobożnego jak zwykle stojącego między trzema dudarzami napełniającymi cały dom swą przeraźliwą muzyką. Po skończonéj serenadzie przywołałem Manella do mego pokoju.

— Napijesz się może szklankę Orwietto, rzekłem do niego, upał bardzo dokuczliwy?

— Chętnie! odpowiedział obcierając pot z czoła; upały jak w Sierpniu chociaż już Listopad. I pijąc wino spoglądał Manello na moje monety i mówił o nich jak znawca i artysta.

— Masz tu pan, rzekł do mnie, bardzo pięknego Klaudyusza. Napis téj pięknéj monety "Divus" oznacza, że ją bito po śmierci tego Cesarza, a czystość wykonania każe się domyślać że wyszła z mennicy za czasów Trajana. Tu widzę Galba, egzemplarz dość rzadki, szkoda że głowa trochę uszkodzona uderzeniem motyki. Nie jest-to pieniądz ale raczéj znak po którym Rzymianie poznawali widza w teatrze, jest-to rodzaj kontremarki.

Radził mi potem ażebym niedowierzał autentyczności jednego medalu przedstawiającego Kaligulę z wizerunkiem trzech sióstr na odwrotnéj stronie.

— Jest-to pomnik potrójnego kazirodztwa tego ukoronowanego szaleńca; rzadki to egzemplarz, ale i w późniejszych czasach naśladowali spekulanci te odciski oszukując tym sposobem numismatów. Kawałki mozaiki szklannéj zwracały szczególnie jego uwagę.

— To dziwne odłamki, rzekł przypatrując im się uważnie; tych sześciokontów szklannych używano w kunszcie mozaiki dopiéro w epoce upadku sztuk pięknych w Rzymie. Rzadko natrafić można na takie, coby wcześniejsze były od panowania Septyma Sewera.

Niemogłem wstrzymać uśmiechu na widok sprzeczności zachodzącéj między jego górskim ubiorem, jego pozorną profesyą a erudycyą archeologiczną, którą mi prawie mimowolnie okazywał. Manello spostrzegł to.

— Rzadka to rzecz, rzekł do mnie, ażeby Pifferaro znał się tak dobrze jak ja na zabytkach starożytności, i słusznie się pan dziwisz.

— Przyznam się że mnie to rzeczywiście bardzo zastanawia.

— Ah! odpowiedział, niezawsze spędzałem czas nadymaniem kobzy. Byłem niegdyś artystą; rytowałem starożytne wizerunki na muszlach i kornalinie; układałem w mozaice nasze najpiękniejsze ruiny: Colyseum, świątynię Westy, arkadę Tytusa i tyle innych. Uzyskałem nawet reputacyę zręczności która wzrastała z każdym dniem...

— I dlaczegoż porzuciłeś ten zawód?

— O! teraz inny mam cel: spędzam zimę ażeby naprawić zbrodnię świętokradzkiego skąpstwa, która tyle nieszczęścia sprowadziła na Giglię i na mnie, w lecie opuszczam Rzym, idę szukać wspomnień mojéj miłości, aż dopóki mi Madona niepozwoli połączyć się na tamtym świecie z tą, którą kocham.

To zwierzenie było nową dla mnie zagadką, i tém mniéj mnie zaspakajało, iż Manello zabiérał się do odejścia. Zatrzymywałem go usilnie.

— Niewątpię, rzekłem, że to musiała być wielka i ważna przyczyna, żeś porzucił zawód tak piękny, zjednawszy sobie już wzięcie i sławę.

— Tak jest rzeczywiście! zawołał Manello wznosząc ręce i oczy ku Niebu.

Po chwili, wpatrując się we mnie wzrokiem badawczym dodał:

— Czy niemówiono panu w Rzymie, że ja obłąkany?

— Nie, nigdy.

— Czy panu nieopowiadano już moje przygody?

— Niesłyszałem ani słowa od nikogo.

— Wszystko to poszło już w niepamięć, rzekł Manello z smutnym uśmiechem; ja tylko sam żyję zawsze tą przeszłością, mnie tylko samemu wydaje się wszystko jak gdyby dzisiaj.

Po twarzy mojéj poznał ile mnie obchodził los jego i jak byłem ciekawy dowiedzieć się o bliższych szczegółach jego życia. Rzekł więc:

— Dobrze! Opowiem panu moją historyę dziś wieczór, długo i dokładnie; oczekuj mnie pan po zachodzie słońca. Teraz dudarze grają, muszę iść pełnić com ślubował.

Wieczór Manello przyszedł jak przyobiecał. Miasto kożucha miał na sobie zarzucony płaszcz rzymski, ten strój ponury, w którym cudzoziemiec podróżujący w Apeninach zwykł upatrywać rozbójnika, chociaż niemal każdy krajowiec w podróży zwykł się osłaniać podobnym płaszczem.

Ta zmiana w ubiorze miała zresztą swą naturalną przyczynę; po całodziennym upale zaczął wieczorem deszcz lać strumieniami. Manello przywitał mnie poważnie, rozwiesił swój zmoczony płaszcz na poręczy krzesła i usiadł naprzeciwko mnie.

Długą chwilę siedział w milczeniu. Wziąłem go za ręce i uścisnąłem je po przyjacielsku na znak zupełnego zaufania. Ten dowód życzliwości wzruszył go widocznie. Wstał, przeszedł się po pokoju, jak gdyby rozmyślał ile mi ma powierzyć z drogich swych wspomnień; wkońcu usiadł znowu i zaczął opowiadać swoją dziwną historyę, którą tu wiernie podajemy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DWA DWORY.

Powieść przez *** (z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 30. Rozmaitości.)

III.

Sieroctwo.

Głucho na dworze: wicher szeleści,
Jakby na skrzydłach straszne niósł wieści.
Grubym tumanem nad ziemią chmury
W krąg roztoczyły całun ponury.
Żadna na niebie gwiazda nie świeci,
Tylko szum słychać śnieżnéj zamieci.
Czasem złowrogo z krukami, wrony
Zakraczą społem dzikiemi tony;
Czasem plusk wody słychać w oddali,
Gdy wiatr z korzeniem olchę powali,

A ona jęcząc toczy się z góry
I grób znachodzi w korycie Bzury.

W Woli, we dworze ogień migota,
A przy ognisku siedzi siérota,
Blada i łzawa, w żałobnéj szacie.
Wiatr przez szczeliny dmie po komnacie,
I głucho wstrząsa dwór modrzewiowy,
I jęk puszczyków niesie z dąbrowy.

W statecznych latach, obca matrona,
Młodą Halinę tuli do łona;
Ale choć obca, przecież jéj z oka
Miłość ku dziecku świéci głęboka.
Nie czas poorał zwiędłe jéj lice,
Lecz życia burze i nawalnice.
Na bladém czole, znać, palec Boski
Świéżo wypalił tajemne zgłoski;
A silne barki, przed czasem w ziemię,
Znać pochyliło krzyżowe brzemię.

Lecz choć wydatnie troski i bole
Cień na matrony osnuły czole;
Przecież oblicze nadobnie złoci
Odblask niebiański dziwnéj dobroci.
O! bo niekiedy słaba niewiasta
Olbrzymia duchem, ku niebu wzrasta,
Gdy w samolubstwa grobowiec ciasny
Nie zagrzebała boleści własnéj;
Jeśli na gruzach zburzonéj doli,
W piersi roztliła iskrę powoli,
I nie żądając nic już dla siebie,
Umiała odżyć myślą o niebie;
Jeśli jéj serca chłód nie ostudzi,
Wiejąc zawody wiecznie od ludzi;
Gdy nieudolność poznawszy braci,
Łzą pobłażania gorycz im płaci;
Jeśli w pustkowiu swego żywota,
Umié snuć jeszcze tkankę ze złota,
I z niéj życzliwie na bliźnich głowy
Splatać ów wdzięczny wieniec godowy,
Co go nie znała w życia kolei;
Jeżli miłości, wiary, nadziei
W zbolałéj duszy chowa skarb święty,
Zgubną zwątpienia rdzą niedotknięty: —
Wonczas duch Boży zstępuje g'woli,
I niby ziarno na bujnéj roli,
Sieje pociechę w łzawém jéj łonie;
A kłos wyrasta i złotem płonie,
I plony z niego anioły białe
W niebo unoszą Bogu na chwałę.

Tuż przy ognisku miękki len przędą
Dwie młode prządki. Czasem gawędą
Przerwą na chwilę ciszę grobową;
A gdy zaszumi wicher dąbrową,
Tulą się trwożne, i do ogniska
Wrzucą drzew parę. Wnet jaśniéj błyska
W kominie ogień, święty dar Boga;
I zwolna z serca ucieka trwoga.

Lecz nie ucieka z czoła siéroty
Pomrok ponury bladéj tęsknoty.
O! bo w jéj sercu świéża tkwi rana!
Tylko co poszła matka kochana
W ślady za ojcem w cmentarne wrota,
I owa gwiazda zagasła złota,
Co tak nad głową lśniła dziécięciu,
Gdy spoczywało w matki objęciu!....

Corazto prządki popatrzą obie
Na smutne dziécię, co przy żałobie
Świéci na licu jako lilija;
Na włos, co w pierścień jasny się zwija,
Jak u aniołka — i zcicha płaczą.
A kiedy w Halki oku zobaczą
Łzę, co jak czystéj rosy kropelka
Lśni na jagodzie: to taka wielka
Żałość w ich sercu powstaje młodem,
Że im się niby krew ścina lodem.

— „Nie płacz mi, nie płacz, panienko złota —
Rzecze Marysia — zawdy siérota
Miłą jest Bogu! Nim ogień zgaśnie,
To ja cudowną opowiem baśnię
O młodéj wdowie, co choć uboga,
Znalazła wielką łaskę u Boga."

Ogniem Halinie zabłysły oczy,
Łza się po licu zastygła toczy;
Ale już nowa z oka nie płynie!
I bystro patrzy, a ku dziewczynie
Nakłania ucha, i myślą pieśni
Naprzód osnowę dziwnéj powieści.

— „Owóż przed laty (tak prawi dziéwcze),
Gdy czary były na świecie jeszcze,

Stara niewiasta, wdowa nieboga,
Raz zaniemogła; a dziwna trwoga
Zdjęła jéj synów (a trzech ich było).
By poratować matulę miłą,
Biegną do wróżki, co dziwnie sprawna
W boru mieszkała od dawien-dawna.
— „O moje chłopcy — rzecze babina —
Zła na was przyszła owo godzina!
Już wam matula zamarła pono!
Trudno zaradzić, gdy tak sadzono.“

„Niby kukułki płaczą synowie,
A wróżka sobie układa w głowie;
Wreszcie zagadnie: — „Słuchajcie dziatki!
Wiemci ja radę dla waszéj matki:
Jeszcze z śmiertelnéj wstanie pościeli,
Skoro się który przynieść ośmieli
Choć kropli wody z krynicy żywéj,
Co jéj smok wiecznie strzeże straszliwy.“

„Wadzą się społem trzéj syny wdowy,
Każdy po wodę bieżyć gotowy;
A jeden z synów był wojak śmiały.
Miał on szabelkę i ostre strzały;
A drugi służył Bogu w kościele,
I na organach grywał w niedziele;
A trzeci chłopak głupiec nieboże,
Boga za piecem chwalił w pokorze,
I doma służył macierzy g'woli,
I pługiem co dnia orał na roli.

„Idzie więc naprzód wojaczek młody
Po żywą kroplę kryniczněj wody;
Ale minęło trzy dni z okładem,
Jego ni oko. Za brata śladem
Idzie brat drugi: toć ani słychu.
W trzy doby, szepcząc paciérz pocichu,
Wybieży w drogę pacholę młode,
Dla zmarłéj matki po żywą wodę.
Wstępuje naprzód do wróżki owéj,
Co wpośród ciemnéj mieszka dąbrowy.

— „O miła wróżko — chłopię zagadnie
Co który pójdzie, to het przepadnie,
Jakoby kamień utopił w wodzie!“
A wróżka na to: — „Bo w człeczym rodzie
Zawdy ciekawość zawadza pono;
Człowiek rad czyni, co mu wzbroniono.
Jam przestrzegała, żeby za siebie
Żaden nie spojżrzał; bo wnet zagrzebie
Ziemia śmiałego, co z drogi zbieży.
Brat twój i jeden i drugi, leży
Kamieniem w ziemię wrosły na wieki.“

„Idzie pacholę za lasy, rzeki:
Im daléj idzie, tém cięższa droga.
Dziwna go w duchu zdejmuje trwoga,
A w okół, ostre ciernia i głogi
Do krwi biédnemu kaleczą nogi.
A kiedy zaszedł pod stromą górę,
W ślad za nim gonią wilczyska bure;
Zachodzą drogę: ślépie im błyska,
On śmiało srogie mija wilczyska,
I coraz bieży daléj a daléj.
A bór się przed nim szeroko pali,
Płomień do góry z dymem wybucha:
Pacholę idzie. Już wskroś mu ducha
Przejmuje trwoga, włos mu się jeży;
Brnąc przez zarzewie, bieży a bieży.
Spotyka wreszcie obcego człeka,
Co mu wskazuje ścieżkę zdaleka,
Gładką zasłaną śliczną murawą,
Byleby zboczył trochę na prawo;
Ale on pewny słów wróżki staréj,
Zwodnym pokusom nie daje wiary,
Jeno się dźwiga w górę wysoko.
Wtém smok straszliwy wpada mu w oko,
Z siedmioma łbami, nad brzegiem jamy
Spiący: połyska ostremi kłami;
Dym z siedmiu paszczek siarczysty bucha.
Pacholę stawa, patrzy i słucha;
A choć do kości przejęty strachem,
Zmiata łby jednym kosy zamachem.
Posoka tryska gorącą strugą,
A chłopię zchodzi w jamę, i długo
Idzie omackiem prosto przed siebie.
Wtém złoty promyk błysnął na niebie.
Wychodzi z jamy, wita świat Boży,
Klęka i zcicha Bogu się korzy.
A pod jaworem na wierzchu skały
Wytryska wody potok wspaniały:
Pije pacholę — i owoż dziwy!
Pokrzepion wodą z krynicy żywéj,

Nie czuje znown bolu, ni trwogi,
Ni ran, co obie krwawią mu nogi.
I widzi pola, lasy i grody,
I kwietne łąki, i bystre wody,
W złocistą niby owiane zorze,
A srébrne liście drżą na jaworze:
I kiedy niemi wiatr zaszeleści,
Zaklęte niby spiewają pieśni.

A na wspaniałém drzewie u góry.
Sokół złotemi chwieje się pióry,
I na ramieniu siada siéroty,
I trzyma w dziobie dzban szczerozłoty.
A cudny jawor spiewa i spiewa:
„Zerwij pacholę gałązkę z drzewa,
I w złoty dzbanek zaczerpnij wody,
I do matczynéj wracaj zagrody,
I znurzaj w wodzie liść jaworowy,
I skrapiaj wkoło pola, dąbrowy!"

„Młodę pacholę bieży co ducha,
I bacznie dawnych napomnień słucha:
I drze się znowu przez gęstwie boru,
I skrapia ziemię liściem jaworu.

A kędy woda na stos kamieni
Padnie; wnet kamień w człeka się zmieni,
I ku serdecznéj chłopca uciesze,
Wślad za nim idą ogromne rzesze:
Niewiasty, starcy, młodzież i dziatki,
I brat rodzony, ów wojak gładki,
I sługa Boży, i wszyscy ludzie,
Co od lat wielu w znoju i trudzie
Nie mogąc wytrwać, z drogi zstąpili,
I z woli Boskiéj w głaz się zmienili.

„I po dwóch dobach mozolnéj drogi,
Zachodzą bracia w domowe progi:
Skrapiają wodą lica macierzy,
Co na śmiertelnéj pościeli leży.
I z łoża wdowa powstaje stara,
Bo śmierć przemogła prostaczka wiara.
Toż nieraz łaskę Bożą ów kupi,
Co według ludzkich rozumów głupi.

„Gody wyprawia szczęśliwa matka,
Pląsają syny, pląsa czeladka;
Po stole płyną piwa i miody,
Pije pospołu stary i młody.
I my-ta razem byli z drugiemi,
Wszystko widzielim oczy własnemi,
Jedlim i pilim jako przystało,
Jeno nam w gębie nic nie zostało."

Na one słowa, Halina cicha
Drobnemi usty wpół się uśmiecha,
Lubo łzą jeszcze powieka świeci,
Co ją zroniła, słysząc, jak dzieci
Po żywą wodę radzi bieżeli,
By na śmiertelnéj matce pościeli,
Cudowną kroplą powrócić życie.

I długo duma nadobne dziecię,
A coraz tkliwiéj zacna matrona
Małą Halinę tuli do łona;
Ale nie cieszy marnemi słowy,
Bo to pociechy sposób jałowy:
Jeno tajemną współczucia siłą
Skrzepia na duchu dziéweczkę miłą.

A wicher straszniéj szumi nad lasem,
I drzew konary łamie z hałasem,
I pluska wodą spienionéj Bzury.
Na niebie nowe kłębią się chmury.
Wiatr przez szczeliny w izbę się wciska
I gasi blady płomień ogniska:
Obie go prządki wzniecają społem.
A widząc znowu nad dziecka czołem
Ponury smutek; Kasia pierzchliwa,
Gdy znów migocze płomień łuczywa,
Na ukojenie łzawéj siéroty
Nuci piosenkę o doli złotéj.

A z razu wicher wyjąc boleśnie
Głuszy dziewoi nadobną pieśnię;
Ale powoli milknie wzburzony,
Jakby go wieszcze zaklęły tony.
I coraz ciszéj szumią olszyny,
I słychać tylko piosnkę dziewczyny:

„Dolo moja, dolo złota,
Gdzie się kryjesz przecie?
Czyż dogoni cię siérota
Na szerokim świecie!

Gdy rozwinie słonko kwiaty
Na pszenicznéj roli,
Wybiegnę ja rankiem z chaty,
Szukać mojéj doli.

I na szczére wyjdę pole
Gdzie falują kłosy,
Może Bóg mi złotą dolę
Spuści w kroplach rosy.

Będę gonić wciąż zdaleka
Moją dolę miłą,
Choćby ją zabrała rzeka,
Lub słonko spaliło.

I usiądę pod potokiem
Przy białéj kalinie,
Będę ścigać wodę okiem,
A dola przypłynie.

Choć nie spłynie z biegiem wody,
Ja o to nie stoję:
Bóg mi jako ptaszce młodéj
Da skrzydełek dwoje.

A jak błyśnie zorza dzionkiem,
To odziana pióry,
Oj! polecę za skowronkiem
Wysoko do góry.

I dobiegnę aż do zorzy,
I promień różowy,
Przeniosę ja przez świat Boży,
Na próg mój domowy.
O! i będęż ja sierota
Chwalić Boga w niebie,
Że mi moja złota dola
Zaświeci w potrzebie.“

I piosnka Kasi w wieczorną ciszę
Zwolna sierotę do snu kołysze;
I na ramieniu wsparta matrony,
W płomień utkwiła wzrok wpółomglony.
Wreszcie powieki mruży powoli
Słuchając pieśni o złotéj doli.
I coraz wdzięczniéj kwitną jéj lica:
Czy je pochodnią anioł rozświeca?
Czyli on w krasne barwy korala,
Drobne jéj usta cudnie zapala
I do uśmiechu skłania choć we śnie?
I zgania owe mgły, co przedwcześnie
Osnuły blade czoło sieroty?
Czy on jéj szepcze o doli złotéj,
Co z-poza chmury dla ziemskich dzieci,
W pasmie żywota czasem zaświeci?!.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Księżniczka na Grochu,

(z dzisiejszéj literatury powieściarskiéj w Niemczech.)

Był-to raz książę jeden, co chciał ożenić się z księżniczką, ale z prawdziwą księżniczką. Szukał jéj wszędzie, zjeździł świat cały, i wszędzie czegoś nie dostawało. Księżniczek było dużo, ale prawdziwéj — jak zaklął, nie było. Smutny wrócił do domu, bo księżniczki jakiéj szukał, nie znalazł.

Raz wieczór wielka nastaje burza; grzmiało, błyskało, i niesłychana była ulewa. W tém ktoś do bramy puka, a stary król poszedł sam popatrzyć.

Pod wrotyma stała księżniczka; ależ, mój Boże! jak wyglądała! ktoby to powiedział? przemokła do nitki, a z włosów woda strumieniami płynęła po sukniach; a przecie mówiła: ja prawdziwa księżniczka.

Da się to widzieć, pomyślała stara królowa. Nic nie mówi, ale idzie do komory sypialnéj, zbiera z łóżka pościel, i kładzie na spód ziarnko grochu, jedno jak oczko. Na to każe sadzić dwadzieścia materaców, a na te materace dwadzieścia pierzyn. Na nich kazano spać księżniczce.

Nazajutrz pytają: jak się pani spało? Bardzo źle, bardzo, mówi księżniczka; cała noc ani oka zmrużyć, Bóg wie co tam było na spodzie, ale tak coś twardego, że mi się boki poodgniatały. Taka-to wasza gościnność!

I zaraz po tém jedném poznali, że to prawdziwa była księżniczka, bo któżby inny mógł poznać oczko grochu przez pierzyn dwadzieścia i tyleż materaców.

Więc książę z nią się ożenił, przekonany z gruntu że ma prawdziwą księżniczkę, — a to oczko grochu przekazano do gabinetu, gdzie jeszcze widzieć można, jeżli kto nie skradł.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*